

AUTOR:

Filip Brawata

RIESE 2033 – opowiadanie osadzone w otwartym uniwersum Metro 2033 autorstwa Dmitryja Glukhovskiego.

Ponad lasem pełnym dziwnych drzew wstawał ołowiany świt. Drzewa były wysokie, nagie, szerokie. Sękaty konary, nienaturalnie wygięte, sprawiały wrażenie skręconych rękami giganta. Promienie słońca powoli rozlewały się po szarym całuniecie chmur przykrywającym rozległą puszcę. Mrok nocy rozpraszał się jakby z niechęcią, nie chciał opuszczać ciemnych zakamarków puszczy - dziupli w sękatych pniach i szczelin między skałami. Słońce zaczynało panować nad tym bezludnym światem. Wolno, lecz systematycznie wydzierają władzę nad nim ciemności.

Gromada stworzeń wielkości nietoperzy z piskiem poderwała się z gałęzi. Ciszę lasu rozdarł potężny ryk, jakiego ten świat dawno nie słyszał. Potężny hałas zmieniał raz na jakiś czas swój ton - to opadał, to znów wzrastał się ze zwiększoną siłą. Ryk nie należał do żadnego z tych niewyobrażalnych stworzeń, które po skażeniu świata radioaktywnym opadem zmieniły się nie do poznania.

Czterokołowy potwór z wściekłością wznosił tumany sypkiego śniegu. Ciemnozielony pojazd parł naprzód, nie bacząc na stojące na jego drodze przeszkody. Nagle zatrzymał się. Mimo tego hałas nie ucichł - prawie dwustukonny silnik zmodyfikowanego pickupa Nissana pracował na najwyższych obrotach. Koła również kręciły się z prawidłową prędkością. Samochód stał. Koła boksowały. Bestia została ujarzmiona przez grubą warstwę miękkiego puchu. To dopiero upokorzenie!

Z pojazdu wyszedł człowiek. Ubrany był szczelnie w ciepły kombinezon moro, twarz jego była zakryta maską przeciwgazową z panoramiczną szybą. Dwa płaskie filtry. Najwyraźniej była wyprodukowana według wysokich standardów, jeszcze przed Wojną. Różniła się bardzo od swoich odpowiedników konstruowanych chałupniczo pod ziemią.

Mężczyzna dokonał pobieżnych oględzin pojazdu. Przykucnął i przypatrzył się kołom, ocenił, na ile głęboko jego cudeńko zapadło się w śnieg. Wyprostował się i otworzył drzwi. Nie wszedł jednak do środka.

- Albercik, wygląda na to, że się zakopaliśmy.

- Chryste Panie! Zginiemy! Na pustkowiu, sami! Jezusie...

- Spokojnie, nerwusie... Pójdziemy piechotą, a gdy wrócimy, użyjemy wyciągarki.

Stalker¹ nie lubił tego jajogłowego, znerwicowanego zrzędy. Było mu jednak jednocześnie trochę żal nieszczęśnika - los go rzucił w nieprawidłowe czasy i w nieprawidłowe miejsce. Ten pełen niebezpieczeństw świat nie jest środowiskiem dla pełnego lęków miłośnika nauki...

- Ale na miłość Boską, Albert, ubierz maskę! - krzyknął mężczyzna w moro do kuli składającej się ze starej lateksowej kurtki, grubego swetra i zawszałego szalika, która właśnie wytoczyła się z wozu. Stary nerwuśnik, gdy zorientował się, że nie ma na sobie maski i uświadomił, jak wielkie niebezpieczeństwo wiąże się z przebywaniem na powierzchni bez odpowiedniej ochrony, natychmiast wpadł w panikę. Rzucił się z powrotem do wozu i rozpaczliwie zaczął szukać tego środka bezpieczeństwa, tak niezbędnego w nowym świecie. Leśniczy widząc ten cyrk, rozłożył ręce.

- Za jakie grzechy, za jakie grzechy jedyny biolog w całym kompleksie musi być właśnie Albertem! - powiedział cicho, tak by jedynie on sam usłyszał te słowa.

Z wozu ponownie wytoczyła się ta żywa kula.

¹ W literaturze post-apokaliptycznej jest to nazwa osoby zajmującej się polowaniem lub zbieractwem w strefie skażonej radioaktywnie.

- D, d, do, dobrze... Jest... Jestem gotowy.- wyjął stary biolog zniekształconym przez maskę głosem - Zaprowadź mnie do tego dziwadła, co je odstrzeliłeś. I poszli.

Bartłomiej był typem samotnika. Opanowany, zawsze w krytycznych sytuacjach zachowywał zimną krew. Nie był brawurowy, jak pierwsi Leśnicy. Na takich działała selekcja naturalna - szybko ginęli w nowym zawodzie przez swoją głupotę... brawurę. Przez głupie zawody, który z nich odstrzeli większego „zwierza”. Wszyscy uczestnicy tej rywalizacji prędzej czy później wrócili do kompleksu w kawałkach.

Kompleks Riese - wiele kilometrów ponadziemskich tuneli zbudowanych w niewiadomym celu. Dziś – jedyne schronienie i ostoja ludzkości w promieniu wielu kilometrów. Stał się domem dla tych, którzy mieli szczęście, i w dniu w którym atomowe ciosy skalą planetę, znaleźli się tutaj. Był również domem Bartłomieja i Alberta. Obaj mieli jednak zupełnie inne spojrzenie na wykutego w skale „giganta”². Dla Bartłomieja była to baza wypadowa, pewne miejsce na Ziemi, w którym nie musi nosić przy sobie strzelby, miejsce dające chwilę wytchnienia przed następnym dniem. Mały Bartek zbyt kochał świeże powietrze, by swoją dorosłość spędzić w zamknięciu.

Dla Alberta tunele były jedynym miejscem na Ziemi, w którym miał rację bytu. Jego pokój - pełen starych gazet, książek - był jego ostoją, czuł się tam bezpiecznie. Jego łęki ulatniały się gdzieś wraz z płomieniem świecy. Nie było zasadniczej różnicy między jego stylem życia przed i po końcu świata...

Dwie tak różne postaci po około czterdziestu minutach marszu pomiędzy drzewami doszły do miejsca przeznaczenia.

- Panie i Panowie, mam zaszczyt przedstawić gwiazdę dzisiejszego wieczoru ! Oto i... mutant! – zabłysnął dowcipem Bartłomiej, wskazując teatralnym gestem na dziesięciometrowe brunatne cielsko. Żart jednak nie rozśmieszył wcale Alberta, wręcz przeciwnie, gdy stalker wspominał o wieczorze, przeszył go dreszcz. Wyobraził sobie noc w tym przeklętym lesie...

Bestia leżała płasko na prawym boku. Z otwartego pyska buchał potworny, ciepły odór. Cztery łapy zakończone płasko stwardniałą skórą jak u słonia, leżały bezwładnie. Głowa stwora, jak i część jego pleców, pokryta była twardym pancerzem. Brzuch w paru miejscach był rozpruty pociskami.

- Bydlak żarł drzewa - zaczął Leśniczy - tak mi się przynajmniej wydawało. Ja mam za zadanie likwidować zagrożenia pochodzenia zwierzęcego, więc zrobiłem swoje... Naukowiec wyteżył zmysły. Wzrokiem przeczesywał każdy centymetr ciała bestii. Słuch zajmował się opowieścią stalkera. Otworzył pożółkły zeszyt i zaczął notować. Czy to opowieść kompana, czy to opisywał wygląd stwora...

- Najpierw, jak zawsze oddałem strzał kontrolny, w powietrze znaczy się. Zaczął na mnie szarżować. Ewidentnie agresywny. - Albert pokiwał głową ze zrozumieniem - Miałem sporo zachodu z tym czymś. Powiem nawet szczerze, że gdy ten kawał tłuszczu na mnie szarżował, miałem trochę stracha... – zrobił przerwę, ponieważ jego uwagę odciągnął jakiś hałas w oddali. Wycie wilczycy - w dzień wataha jest nie groźna, więc wrócił do opowieści - musiałem się położyć i gdy biegł nade mną wpakowałem mu ołów w miękki brzuch. Od strony głowy pociski rykoszetowały. Pytanie brzmi - skąd to się tu wzięło? Jak żyję nie widziałem czegoś takich rozmiarów w tych okolicach...

Biolog nie odpowiedział. Notował jeszcze chwilę, coś rysował, po czym zamknął swój notes i stwierdził:

- Gotowe.

Po powrocie do kompleksu Leśniczy udał się do Stratega by złożyć meldunek. Dwuminutowa formułka, niewiele różniąca się od wczorajszej. Rutyna.

Idąc korytarzem minął tablicę informacyjną. Znajomość jej treści była obowiązkiem każdego obywatela Republiki Włodarskiej. Na wielkiej ścianie, zwanej chyba tylko z przyzwyczajenia tablicą, wisiała jedna, niewielka, lecz nieskazitelnie biała kartka wypełniona maszynopisem:

² Riese w języku niemieckim oznacza „gigant”.

„W DNIU 1 MARCA ODBĘDZIE SIĘ ZGROMADZENIE LUDOWE. TEMATEM OBRAD BĘDZIE OMÓWIENIE STOSUNKÓW Z RZESZĄ SUDECKĄ. GODZINA ROZPOCZĘCIA 8:00. OBECNOŚĆ OBOWIĄZKOWA.”

- Pieprzona demokracja - pomyślał, po czym udał się najkrótszą znaną sobie trasą w kierunku swojej kwatery.

O godzinie szóstej rano był już na odprawie. Ubierał buty, kombinezon. Sprawdzał mapę i wykonywał jeszcze masę innych codziennych czynności. Na ramię założył dwulufową strzelbę, pistolet włożył do kabury. Szykował się do patrolu. Jeszcze tylko plecak z minimalnym zapasem żywności i wody na wypadek nieoczekiwanych trudności.

Bartłomiej wszedł do garażu. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy przy samochodzie czekał na niego stary biolog...

- Który czort cię tu przysłał? – spytał oschle Leśniczy

- Mam pewne wątpliwości, znaczy się - Wydział Naukowy ma pewne wątpliwości. Chciałbym jeszcze raz obejrzeć zwierzę.

Stalker westchnął.

- A czy jajogłowym nie przyszło do głowy, że powinienem patrolować następne sektory, zamiast kolejny raz udawać się na to samo miejsce, żeby zobaczyć jakiegoś trupa? Nie żyje, to nie żyje, zagrożenie wyeliminowane... - Albert nie odpowiedział.

Obaj wsiedli do wozu i ruszyli.

Po wczorajszym zakopaniu wozu, Bartek postanowił obrać inną trasę. Prowadzącą przez otwarte tereny.

Stalker zatrzymał wóz. Grom przeszył strachem ciała obu mężczyzn. Nie był to jednak pojedynczy dźwięk, jak wystrzał. Hałas narastał z każdą sekundą, zbliżał się. Zatrzęsła się ziemia. Bartłomiej wyszedł z wozu i zaczął wzrokiem przeczesać okolicę w poszukiwaniu zagrożenia. Zza płaskiego, rozległego pagórka, zaczęła wyłaniać się sylwetka. Mężczyzna widział już tę sylwetkę. Parę dni temu, gdy szarżowała na niego opancerzona bestia...

Po tej sylwetce zza wzgórza zaczęły wyłaniać się następne. Wszystkie podobne, w tej samej pozycji. Pędziły przed siebie. Na nich.

- Jasny gwint! Albert, wyłaż z wozu! – krzyknął Bartłomiej.

Biolog siedział w środku i jak osłupiały wpatrywał się w zbliżające się stado.

- Wyłaż mówię! – stalker powtórzył zawołanie i gdy nie otrzymał odpowiedzi od osłupiałego naukowca, zważo zabrał się za wyjmowanie go z pojazdu.

- Ciężkie jesteś bydlę...- powiedział cicho.

Po wyjęciu z samochodu Albert ocknął się i zaczął biec. Pchał go przed siebie atak okropnej hysterii, zmuszający do wysiłku każdą komórkę ciała.

- Do lasu, między drzewa, do cholery! - krzyczał Leśniczy, lecz jego oszołomiony kompan nie słuchał go. Biegł równoległe do trasy stada. Bartłomiej musiał podjąć decyzję. Mógł próbować złapać Alberta i ściągnąć go za bezpieczną zasłonę roślinności lub uciekać samemu.

Błyskawicznie ocenił odległość stada, które niewzruszenie szturmowało wzgórze.

Blisko.

Zbyt blisko.

Leśniczy skoczył między drzewa. Stado dosłownie sekundę później przetoczyło się jak pociąg tuż obok. Nie słyszał żadnego krzyku. Tylko huk nieuniknionej szarży.

Do kompleksu musiał wracać na piechotę. Jego wysłużony Nissan Navara niestety podzielił los nieszczęsnego naukowca. Tak jak on został stratowany.

Zmęczenie i przybicie - oto, co czuł wtedy Leśniczy. Stracił kompana, co uważał za osobistą porażkę. Nie potrafił zapewnić mu bezpieczeństwa... Może powinien rzucić się wtedy za nim?

- Nie. Nie wolno tak myśleć. Rozważyłem sytuację i stwierdziłem, że zginęlibyśmy oboje. Muszę ufać swoim decyzjom. On wpadł w histerię. Nic się nie dało zrobić. Zapamiętaj sobie. Nic się nie dało zrobić. Nic - mówił do siebie podczas drogi.

Mimo wszystko, nie był do końca przekonany. Coś mu mówiło, że w tym świecie przesiąkniętym śmiercią jeszcze jeden żywot został niepotrzebnie zmarnowany.

Leśniczy miał do pokonania jeszcze kawałek drogi. Pomału wspinał się zasypaną drogą, cały czas zachowując czujność. Słońce zapadło się już za horyzont i mrok spowił puszcę. Promień światła latarki nieustraszenie przesywał ciemność. Leśniczy zszedł na asfaltową drogę popękaną od mrozu, zaniedbaną. Zaśnieżoną, jednak nie pokrytą w całości radioaktywnym puchem. Krok za krokiem, przemieszczał się.

Nagle zamarł. Usłyszał szept. Bliski, jakby ktoś pochylał się nad nim. Światło latarki rozpaczliwie przeczesало pobocza drogi. Z ciemności wyłonił się zarys budynku. Stalker znajdował się we wsi.

- Jest tam kto? - powiedział, rozglądając się dookoła. Patrzyły na niego puste okna opuszczonych domów. W tych domach kiedyś mieszkali ludzie, w większości biedota. Niewinni ludzie. Wszyscy poumierali.

Trupy.

Leśniczego przeszył zimny dreszcz.

I wtedy, gdy stał jak wryty po środku asfaltowej drogi, pomiędzy miejscami kiedyś tętniącymi życiem, usłyszał to.

Głos, przyciszony, niezrozumiały. Dochodził z budynków i pomału przybliżał się, aż Leśniczemu wydało się, że jest tuż obok, że ktoś stoi nad jego uchem. Zaczął rozglądać się rozpaczliwie. Promień światła latarki kręcił się w koło, nie natrafiał jednak na nic podejrzanego. Głos zaczął podchodzić jeszcze bliżej, pełznął po jego ciele. Wchodził do głowy, gdy nagle...

Urwał się. Ucichł. Bartłomiejowi wracało trzeźwe myślenie, tak typowe dla niego.

- Szept, niemożliwe! Musiało mi się wydawać - stwierdził i ruszył znów przed siebie.

Wreszcie wyszedł z przekłętej wsi. Dotychczas nie zwracał na nią uwagi, przejeżdżał przez nią szybko swoim zmodyfikowanym pickupem, nawet nie myśląc.

Stalowe wrota kompleksu Włodarz rozwarły się. Ze środka biło ciepłe światło pochodni. Elektryczność była zastrzeżona dla części mieszkalnych.

- Bartek, witamy w domu! - zahuczał mechanik. - Gdzie moje cudeńko? I gdzie ten doktorek?

Stalker nie odpowiedział.

Leśniczy wstał, zamknął kwaterę na klucz i ospałym krokiem ruszył krętymi korytarzami w kierunku sali obrad. Za niestawienie się na zgromadzeniu ludowym groziły nieprzyjemne konsekwencje. Bartłomiej wybierał się na nie z niechęcią. I tak rzadko kiedy miał coś do powiedzenia, a przy tym nie było chyba na świecie nudniejszego zajęcia niż słuchanie monologu któregoś ze starszych mieszkańców, który błędnie zakładał, że ma dar przekonywania. Echa dnia wczorajszego odbijały się w głowie Leśniczego, gdy ten maszerował wilgotnymi tunelami w kierunku wydrążonej w skale hali produkcyjnej. Była ona jedynym miejscem w demokratycznej części kompleksu, które nadawało się do masowych zgromadzeń. Dźwięk roznosił się tam dobrze, mogła również pomieścić wszystkich obywateli Republiki.

Mężczyzna dotarł do miejsca przeznaczenia. Przed wysokimi wrotami prowadzącymi do hali stało dwoje strażników odzianych w klasyczny uniform służb porządkowych. Jednokolorowy, oliwkowy kombinezon z mnóstwem kieszeni. Charakterystyczna biała opaska na ramieniu. Ta elitarna straż zajmowała się pilnowaniem porządku wewnętrznego, zapobiegania puczom, dbała o bezpieczeństwo Stratega...

Obaj mieli przewieszzone przez ramię karabinki szturmowe, bodajże HK416.

- Przedwojenne cudeńko- pomyślał.

- Numer identyfikacyjny? - spytał jeden ze strażników. Drugi w tym czasie zdjął z ramienia broń i ostentacyjnie wycelował ją w Bartłomieja.

- Najpierw powiedz swojemu koledze, żeby uważał z tą pukawką. Jeszcze paluszek mu się poślizgnie i nie daj Boże spust naciśnie... - odparł Leśniczy patrząc spod byka na celującego w niego mężczyznę.

- Powtarzam: podaj swój numer identyfikacyjny. Powiesz, czy mamy cię zamknąć za zakłócanie porządku?

- 677 – odparł, po czym przeszedł przez wrota i wszedł do hali, z której już dobiegał głośny gwar.

Na podeście pośrodku prostopadłościennego pomieszczenia o dużych wymiarach stanął dojrzały mężczyzna, w sile wieku. Krótko ostrzyżone siwe włosy pokrywały jego okrągłą głowę.

- Proszę o ciszę, cisza ! - powiedział donośnie, a po chwili głosy zebranych wokół podestu ludzi ucichły.

- Witam was wszystkich – zaczął. - Głównym tematem dzisiejszych obrad będzie ustalenie naszego stosunku wobec rosnącego w siłę naszego sąsiada. Mowa o Rzeszy Sudeckiej.

- Śmierć nazistom ! – odezwał się jakiś głos na sali. Mężczyzna na podeście groźnym wzrokiem zmierzył rejon sali, z którego dochodził głos. Porywczy obywatel najwyraźniej się umiarkował i już nie miał już ochoty ujawniać swoich poglądów.

- Podczas obrad obowiązują pewne zasady. Jedną z nich jest podnoszenie ręki, jeżeli ma się coś do powiedzenia. Ale kontynuujemy.

- Rzesza rośnie w siłę. Tunele pograniczne zamieniają w twierdze. Nasi szpiedzy donoszą o zwiększonej produkcji broni i mobilizacji dodatkowych sił. Wydział Naukowy twierdzi, że ostatnie wędrówki mutantów - tu mężczyzna spojrzął na Bartłomieja - związane są z testowaniem przez Rzeszę nowej broni. Ktoś na sali podniósł rękę. - Udzielam głosu.

- Wunderwaffe? Może odkopali tę cudowną broń Hitlera?

- Wydział Naukowy twierdzi, że wędrówka jest spowodowana wybuchami konwencjonalnymi lub broni biologicznej za górą Sokół - tutaj mówca wspomógł się zapiskiem z kartki. - Jeżeli naziści bawią się trotylem, nie powinniśmy mieć specjalnych obaw, ale jeżeli skombinowali broń biologiczną...

- Przecież mamy maski! - odezwał się jakiś głos.

- Przypominam o podnoszeniu ręki, to po pierwsze. Po drugie, nie mamy masek w wystarczającej ilości. Nie uzbroimy w nie całej armii, poza tym skażenie może doprowadzić do zniszczenia hodowli i strat wśród cywilów. Ktoś znów podniósł rękę. - Udzielam głosu.

- Nie wiemy czy Hitler zbudował tę cudowną broń. A w każdym razie jej nie użył. Dłoń ponownie uniósł ktoś inny.

- Proszę mówić - powiedział przewodniczący obrad.

- Dlaczego od razu zakładamy wojnę z Rzeszą? Czyżbyśmy zatracili się w historycznym zamęcie? Co z tego, że dziewięćdziesiąt lat temu najechali nie istniejące już państwo? Tamten świat się skończył. Czy mało było wojen ludzkości? Współpraca przyniosłaby nam wiele korzyści. Nie patrzmy na nich przez pryzmat starego świata.

- Mówisz jakbyśmy to my chcieli ich zaatakować. Podczas gdy my rozważamy zagrożenie... odparł człowiek na podeście.

- Właśnie! Folksdojczce do swoich! Do szwabów! Won! Śmierć nazistom! - wykrzyczał ten sam głos co na początku.

Po sali rozszedł się szum. Niektórzy skandowali „śmierć nazistom!”, inni cicho dyskutowali sytuację z sąsiadami, z członkami rodziny. Rozgardiasz ogarnął halę. Raz po raz szum był przekrzykiwany przez któregoś z patriotów: „Ja im pokażę! Dajcie mi karabin a wybiję wszystkie Szkopy z ich fuhrerem włącznie!”

- Cisza! - zahuczał przewodniczący. Ludzie ucichli, jakby ktoś rzucił na nich magiczne zaklęcie.

- Strategu - zaczął powoli Bartłomiej - chcąc czy nie chcąc, trzeba wybadać tę broń, która wypłoszyła mutanty aż zza Sokoła. Oferuję swoją pomoc.

- Chcesz iść aż na poligon Rzeszy? W życiu, nie puszczę cię! Mało mamy kłopotów, żeby jeszcze stalkera stracić!

- Wezmę jeszcze kogoś do pomocy. I radio. Nawet jeśli nie wrócę, będę przekazywał meldunki na bieżąco i koniec końców informacje dotrą do kompleksu.

- Dobrze. Idź się przygotować, każda sekunda się liczy. My tym czasem...

Bartłomiej nie słuchał już dalej. Udał się prosto do wyjścia z hali.

Zwiadowcy byli gotowi przed świtem. Po spakowaniu żywności, wody, krzesiwa i innych podstawowych dla przetrwania przedmiotów, Bartłomiej wraz ze swoim towarzyszem udali się do garażu-zbrojowni by uzbroić się i uzdatnić radiostację.

Olaf był wysokim, szczupłym młodzieńcem. Twarz jego była gładka, pociągła. Z błękitnych oczu wydierał się zawadiacki błysk, jasne włosy przykrywały czoło. Wyglądał jak typowy aryjczyk, nie podzielał jednak w żadnym stopniu poglądów typowych dla aryjczyków w pierwszej połowie dwudziestego wieku...

Łakomy wiedzy, miał świetny wzrok. Mówili na niego Sokół, właśnie zaczynał karierę Leśnika. Z takim darem na pewno świetnie spełni się w tej pracy. Bartłomiej był jego mentorem - mimo że jego staż u bardziej doświadczonego kolegi skończył się jakiś czas temu i teraz Olaf samodzielnie patrolował już swoje tereny. Często chodził do Bartłomieja po radę. Był dla niego jak ojciec.

- Twój stary samochód niestety uległ zniszczeniu - zaczął Henryk, mechanik - ale bez obaw. Nie będziesz chyba takiej odległości pokonywał na piechotę, co? He, he - roześmiał się.

- Oto i nowy wózek - powiedział, jednocześnie zdejmując szarą płachtę z czegoś, co chwilę temu wydawało się bezkształtną masą rupieci.

Oczom Bartłomieja i Olafa ukazał się pojazd wielkości sedana. Konstrukcja z pomalowanych na jaskrawozielony kolor rur, z przodu pokryta nielicznymi blachami tworzącymi coś na kształt tarana. Gdzieś pomiędzy rurami, w centralnej części pojazdu usadowione były dwa stare fotele. Za nimi - olbrzymi silnik w układzie tłokowym. Na dachu zamontowany był rząd reflektorów.

Bartłomiej widział kiedyś już coś podobnego. Przed wojną.

- Buggy - pomyślał. Te rekreacyjne pojazdy kiedyś tak chętnie konstruowano w garażu. Brano podwozie jakiegoś starego samochodu i dodawano składające się z pospawanych rur nadwozie. Nadawano im czasem nawet niezbyt wymyślne imiona: Szajowóz, Rurak...

To co miał przed oczami odbiegało jednak znacznie od tego, co miał w pamięci. Ten pojazd był znacznie większy od tych, które dane było mu widzieć przed katastrofą. Wielkie koła przekazywały na ziemię moc z potężnego silnika.

- Rany Boskie, Henryk, kiedy ty to skleciłeś?

- Ano, miałem pewne komponenty na składziku, no to żem sklecił. Taki majsterkowicz jestem że udało mi się pręciutko uwinąć. Na twarzy Olafa pojawił się uśmiešek. Za każdym razem gdy słyszał tego gderliwego dziadka, śmieszył go jego akcent i używane przez niego słownictwo. Takie połączenie w ustach Henryka było wyjątkowo zabawne.

Chwilę potem obaj z pełną prędkością przedzierał się przez śnieg. Lekka konstrukcja radziła sobie o niebo lepiej w sypkim śniegu od wielkiego pickupa.

Dzień był mroczny. Ciężkie, szare chmury zwisały nisko, jakby miały zaraz zwalić się na wędrowców całą swoją masą. Były tak nisko, że czasem zdawało się, że zaraz zaczepią o którąś z gór, rozdzierając się przy tym i ukazując tym samym błękit nieba. Brakowało go czasem Bartłomiejowi, starał jednak nie rozczulać się specjalnie nad przeszłością. Olaf jako młodzik postrzegał to trochę inaczej. Miał ledwie rok, gdy jego rodzice wraz z nim przenieśli się do podziemi, więc nie miał za czym tęsknić. Nigdy nie słyszał śpiewu ptaków, brzęczenia pszczoł, szumu morza. Olaf był szczęśliwy w swojej niewiedzy.

- Lepszy rydz niż nic - powiedział Bartłomiej, na chwilę spowalniając wóz i wpatrując się w niebo. Olaf spojrzał przez szybę maski pytającym wzrokiem na Leśniczego.

- O pogodzie mówię. O niebie. Lepsze takie niż sufit w tym przeklętym podziemnym domu wariatów...

Olaf wzruszył ramionami i zamyślił się. Próbował sobie wyobrazić ten błękit nieba o którym rozprawiał jego towarzysz. Był już parę razy na powierzchni, ale nie przypominał sobie innej pogody. Świat sprzed katastrofy Olaf widział tylko na paru wyblakłych zdjęciach przedstawiających jakieś dziwne fortyfikacje. Zupełnie inne od tych ruin, które miał okazję podziwiać na powierzchni. Olaf spróbował sobie przypomnieć ich nazwy.

- Koloseum, Zamek w Malborku, Piramidy... - wyrecytował pod nosem młodzieniec.

Dziwne dla niego było to, co ludzie dawniej potrafili stworzyć. Wyniosłe budowle, szerokie i wysokie jak góry. Raz czytał o ponad trzystumetrowej wieży... W Paryżu, gdziekolwiek to jest. Hala produkcyjna, w której odbywały się eklezje, nie miała tyle w poziomie. Niewyobrażalne rozmiary, ileż wysiłku musiało zostać włożone w stworzenie tych wszystkich cudów. A teraz wszystko obróciło się w pył...

Wielka była kiedyś potęga człowieka.

Z rozważań wyrwało Olafa gwałtowne hamowanie.

- Wysiadamy, młody. Dalej pójdziemy na piechotę, zbyt głośne to autko, jeszcze by nas wykryli.

Wędrowcy ruszyli. Nogi zapadały się w głębokim śniegu, marsz był nużący i długi. Krok za krokiem zbliżali się do nazistowskiego poligonu, więc z każdym krokiem zwiększali czujność. Zaczynało się robić ciemno, gdy w końcu go ujrzeli.

W odległości około pięciuset metrów od wzgórza, na którym się znajdowali, zobaczyli wydzielony wysokim drutem kolczastym prostokątny obszar ziemi. Ciężko było ocenić jego rozmiary - w każdym razie były ogromne. Ściana drutu rozciągała w prawo i w lewo przez całe pole widzenia. Co około dwieście metrów rozstawione były wieże strażnicze. Samo ich rozstawienie było w tych czasach nie lada wyczynem, nie mówiąc już o ogrodzeniu takiego obszaru drutem kolczastym. Dowodziło to tylko potęgi militarnej i przemysłowej Rzeszy...

- O kurde – powiedział cicho Bartosz – aż dziwne że do tej pory nas jeszcze nie podbili, skoro stać ich na coś takiego, to co dopiero na wybicie w pień jakiejś tam grupki szalonych demokratów!

- Nie mów tak. Nie dalibyśmy się przecież tak łatwo! Po moim trupie! – rzekł donośnym głosem drugi Leśniczy.

- Ale nie tak głośno, wiesz jak to się niesie po tych górach? - wysyczał, po czym zaciągnął nieostrożnego kolegę z odsłoniętej polany w krzaki.

- I tak niemądrze było tam stać... Miejmy nadzieję, że nas nie zauważyli.

- Kto?

- Strażnicy! Co dwieście metrów były wieże, chyba nie są one tam dla ozdoby?

- To co teraz robimy?

- Czekamy. Czekamy na zmrok, wtedy spróbujemy podejść bliżej.

Oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Słońce przez chwilę błysnęło jeszcze pomarańczową łuną, przebijającą się gdzieniegdzie przez szary całun, po czym przeniosło się za horyzont.

Zdziwienie odbiło się na twarzach Bartłomieja i Olafa. Reflektory, wcześniej słabo widoczne, wcale nie były ustawione tak, by oświetlały teren na zewnątrz od poligonu. Wręcz przeciwnie - jasne snopy światła padały na wewnętrzną część poligonu.

- Nie spodziewają się ataku z zewnątrz? – spytał młodzik.

- Dziwne... Nie rozumiem... Chociaż może to i lepiej dla nas. Idziemy.

Zeszli po ośnieżonym zboczu góry. Było zupełnie ciemno, a nie chcieli używać latarek, więc schodzili pochyleni, blisko ziemi. Gdy byli już całkiem blisko, dostrzegli ciemną postać strażnika stojącego na pobliskiej wieży. Co ciekawe, on również uparcie wpatrywał się w wewnętrzną część ogrodzonego terenu.

Podeszli do siatki. Chwilę zajęło im wsłuchiwanie się, czy aby nie jest pod napięciem. Nie usłyszeli jednak żadnego niebezpiecznego brzęczenia. Oparli się palcami o siatkę i zaczęli obserwować wewnątrz poligonu.

Bartłomiejowi przez chwilę wydawało się, że z nieoświetlonej części coś się w niego uporczywie wpatruje. Jakiś bezkształtny cień, zjawia...

Jeszcze bardziej wytrzymał wzrok. Wydawało mu się przez chwilę, że cień nabrał realnych kształtów.

Nagle usłyszał szept. Taki sam, niezrozumiały, jak pamiętnego dnia we wsi. Miał wrażenie, że jego źródłem był ten dziwny upiór znajdujący się w cieniu. Lepki strach obiegł ciało Bartłomieja. Przeszedł od końcówek palców u nóg aż do tylnej części głowy. Jednocześnie coś mu kazało stać w miejscu, jakaś niepojęta ciekawość.

Potem stało się coś nierealnego. Zjawą wyskoczyła z cienia, w dwóch długich susach dobiegła do siatki. Uderzyła o nią z pełnym impetem. Była blisko, tak blisko, że Bartłomiej mógł jej się przyjrzeć. Siatka oddzielająca ich obu jakby zniknęła. Potwór miał ciemną skórę, jego głowa nie miała oczu; miał cztery kończyny, ale przemieszczał się na dwóch, pochylony. Ogon był długi, zakończony kolcem, jak u skorpiona. Jednocześnie było w nim coś ludzkiego.

Szept narastał, wchodził do głowy Bartłomieja. Cały świat zewnętrzny zaczął znikać. Szept stawał się wyraźniejszy...

Nagle z transu wyrwał go Olaf. Zaczęła powracać rzeczywistość - wróciło niebo i ziemia, wróciła siatka, wróciły niemieckie krzyki dobiegające z góry. Wrócił strach, nakazujący całemu ciału wyrwać się stąd i znaleźć się jak najdalej od tej przerażającej bestii. Nogi porwały Bartłomiej przed siebie. Zupełnie stracił kontrolę nad swoim ciałem.

Przypomniał mu się Albert. Jego śmierć... Wpadł w panikę, w histerię. Zginął. Ostatnie słowo otrząsnęło mężczyznę. Rozejrzał się dookoła. Szukał wzrokiem Olafa - ten biegł parę metrów przed nim. Spojrzał w tył - zobaczył światła latarek, usłyszał krzyki w języku niemieckim. Naziści puścili się w pościg.

Gdy wrócili do bazy, od razu udali się do gabinetu Stratega. Z powodu pościgu nie mieli czasu nadać przez radio meldunku, więc robili to dopiero teraz

- Wysoki Strategu, melduję wykonanie zadania. Zwiad był skuteczny - zaczął Bartłomiej. Olaf po tych słowach z lekkim zdziwieniem w oczach spojrzał na starszego doświadczeniem kompana. Nie powiedział jednak nic - Naziści trzymają w poligonie dziwną bestię komunikującą się telepatycznie. Olaf nie wytrzymał. Z trudem powstrzymał śmiech i zwrócił się do Bartłomieja:

- Zabawne, ale nie uważasz, że to nie pora na dowcipy?
- Jakie dowcipy? Mówię przecież co widziałem...
- O co chodzi, panowie? - wtrącił Strateg.
- Bartek, przecież obaj dobrze wiemy, że nic tam nie było! Przypomnij sobie! Co ci jest? - powiedział Olaf ze zmartwieniem w głosie.
- Ja... Widziałem, na pewno. To było tam, to było to, co było we wsi - Bartłomiej złapał się za głowę. - To ty sobie żartujesz, Olaf! Jestem pewien...
- Proszę ustalić jedną wersję! Co to za cyrki! Żądam meldunku! CO BYŁO NA POLIGONIE? - wybuchnął mężczyzna za biurkiem.
- Mam zdjęcia...- powiedział cicho Olaf i wręczył urzędnikowi zrobione starym polaroidem fotografie.

Zdjęcia pokazywały niewiele. Ledwie kawałek terenu, siatkę. Wieżę strażniczą.

Żadnego potwora.

- Z tego co tu widzisz... Powinniście odpocząć, Bartłomieu. I zbadać się. Odmaszerować! - uciął krótko Strateg.

Leśniczy był sam we wsi. Tej samej. Otaczał go nieprzenikniony mrok, rozświetlany skąpie marnym światłem zapałki. Stał, wyęczał wzrok i słuch. Nie miał na sobie maski, nie miał przy sobie broni. Nie miał też ucieczki, był zamknięty w klatce własnego strachu. Za zabudowaniami rozciągały się nieprzemierzone góry, porośnięte mroczną puszcza. Nie mógł więc nic zrobić - był w więzieniu, którego kratami była ciemność zaczynająca się tam, gdzie nie sięgał płomyk zapałki. Sparaliżowany, wypatrywał czegoś w mroku. Wiedział, że to coś na pewno przyjdzie.

I przyszło.

Usłyszał za plecami szmer. Obrócił się gwałtownie. Przez czarny całun ciemności przenikał go wzrok strasznej istoty. Pojawił się szept. Zbliżał się, a wraz z nim bestia. Podeszła całkiem blisko, trzymała się około metra od bezbronnego stalkera. Stała na pograniczu światła rzucanego przez ogień. Czuł jej oddech.

Bartłomiej instynktownie się odsunął. Ale wraz z nim, przesunęła się i poczwara. Odległość między nimi była taka sama.

- Imię moje... Oblęd... Szept stał się wyraźny, powtarzał tą jedną frazę. Obchodził mężczyznę ze wszystkich stron, oblepiał go swoimi mackami. Leśniczy ciężko dyszał. Chciał krzyknąć, ale głos uwięził mu w gardle. Czuł, że nie ma ratunku, że jest już na łasce przerażającej istoty. Czuł, że była ona uosobieniem jego największych obaw. Chciał wyjść, chciał uciec, ale nie mógł.

Wtem ogień zgasł. Leśniczy upadł na asfalt. Nie widział już nic, świat spowijały ciemności. Poczł zimny szpon dotykający jego szyi.

- Jesteś mój! - wyszeptała bestia.

Z koszmaru wybudził go dźwięk syreny i nawoływania dochodzące z korytarza. Był cały zlany potem, dyszał. Rozejrzał się po pokoju, dotknął chłodnej ściany. Usiadł na prycy. Pojął, że był to tylko sen.

- Wszyscy mężczyźni zdolni unieść broń niech udadzą się do Sali Obrad! Zostanie wydana broń! Powtarzam: mobilizacja! Zostaliśmy zaatakowani! Wszyscy...- Mężczyzna krzychał do megafonu. W kompleksie panował chaos. Ludzie krzyczeli, biegali. Gwar przekrzykiwał tylko mężczyzna z megafonem.

Około trzydziestu mężczyzn w ciszy i skupieniu wpatrywało się w mrok. Wcześniejsze posterunki poddały się bezlitosnemu szturmowi. Mówili, że Niemców było tyle, że nie starczyło na nich kul...

Oto i ostatnia linia obrony. Za nimi jest tylko kolonia - kobiety, dzieci... Trzeba się bronić, trzeba się bronić za wszelką cenę! Szeroki tunel zastawiony był od przodu grubą ścianą worków z piaskiem. Dwa CKM-y ustawione po dwóch stronach, a za nimi w pełni gotowi ludzie. Gotowi, by nacisnąć na spust i puścić przed siebie deszcz śmiertelnych pocisków. Gotowi by bronić do ostatniej kropli krwi, tego co im zostało. Mrok korytarza przed nimi rozświetlał rząd reflektorów, ustawionych między stanowiskami.

Za barykadą paliło się ognisko. Płomień nierównomiernie oświetlał twarze siedzących wokół niego wojaków. Na plecach mieli karabiny. Oni również byli gotowi, by wstać i rzucić się do walki. Teraz jednak spoczywali w milczeniu.

„Do krwi ostatniej kropli z żył,
Bronić będziemy ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył,
Krzyżacka zawierucha”

Padły strzały. Celna seria położyła na ziemię pierwszego Niemca. Potem drugi, trzeci. To nadal niewielkie straty wroga - jest ich wielu. Odwzajemnili ogień. Worki z piaskiem rozrywał deszcz kul.

- GOTT MIT UNS! – rozlegają się krzyki.

Naziści rzucili granat. Eksplozja z hukiem rozszarpała na kawałki jedno ze stanowisk, połowa reflektorów bliżej źródła wybuchu wysiadła. Krwawe szczątki upadły na podłogę.

Grupa mężczyzn zza ogniska podniosła się, rzuciła się w kierunku barykady. Był wśród nich Bartłomiej.

„Twierdzą nam będzie każdy próg,
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!”

Następna nazistowska falanga została odparta. Jednak w barykadzie, w miejscu stanowiska CKM-u, powstała niepokojąca wyrwa. Prędko poszły w ruch ręce - zaczęto odbudowywać prowizoryczną ścianę. Podczas gdy czworo demokratów kładło następne worki, pozostali ustawili się na stanowiskach. Niemcy szturmowali nieustannie.

Jeden z obrońców nagle upadł. Cienka strużka krwi poleciała z dziury w jego głowie. Następny poległ.

Niemcy rzucili następny granat. Nazista, który dokonał rzutu, szybko upadł pod krzyżowym ogniem z karabinów. Ładunek wybuchowy był jednak już powietrzu. Mężczyźni rozpięchli się. Pokaznych rozmiarów granat nie dawał jednak szans na przeżycie większości z nich w tym niskim tunelu. Wtedy jeden z nich rozpaczliwie położył się na ładunku. Wybuch rozerwał jego ciało, pochłonęło ono jednak znaczną część eksplozji. Polacy wrócili na pozycje.

Kule przeszły ciała następnych napastników.

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił,
Orężny wstanie hufiec nasz
Duch będzie nam hetmanił”

Wszystkie reflektory zostały przestrelone. Teraz mrok tunelu oświetlał już tylko blask ogniska. Padli następni Polacy. Na posterunku zostało już tylko piętnastu obrońców. Granatem zostało uszkodzone następne stanowisko CKM-u. Pozostało czternastu. Naziści wciąż napierali...

Wtedy Bartłomiej wziął łuczywo i uniósł je w powietrze. Zbliżył się do barykady, przy której pozostało ostatnich czternastu...

„Pójdziem, gdy zabrzmiał złoty róg
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!”

Nowa nadzieja wstąpiła w serca obrońców. Każda kula była celna, szturm oddalał się. Wtedy z obrony przeszli do ataku. Przeszli przez barykadę i prowadzeni przez płomień pochodni ruszyli przed siebie. Wokół prowadzącego Bartłomieja śmigły kule. Polacy przedzierałi się przed siebie. Niemcy zaczęli odwrót...

Wtedy zbłąkana kula trafiła Bartłomieja. Krew poleciała z otworu na jego piersi. Upadł, znicz wciąż jednak trzymał. Przyklęknął obok niego inny mężczyzna. Młody. Olaf. Bartłomiej przytknął powieki. Wręczył młodzikowi pochodnię i nóż.

- Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród... - wyszeptał, po czym zamknął oczy. Jego oddech ustał.

Olaf trzymając w lewej ręce łuczywo, a w prawej długi myśliwski nóż, z furią rzucił się przed siebie. Niemcy nie spodziewali się tak bliskiego spotkania.

Pierwszy upadł na ziemię przeszyty ostrzem.

Olaf zrobił gwałtowny obrót. Znicz podpalił ubrania jednego z nazistów. Drugiemu Olaf poderżnął gardło. Inny napastnik rzucił się na niego od tyłu. Olaf w porę zrobił unik i uderzył go pochodnią. Dołączyli do niego pozostali Polacy. Żołnierze Rzeszy uciekali w popłochu.

Wściekłość miotła Olafem. Zwierzęcy krzyk wydierał się z jego gardła. Zamachnął się i rzucił nożem w plecy uciekającego. Ten upadł z jękiem na ziemię.

Olaf pobiegł w kierunku Bartłomieja. Przyklęknął nad jego ciałem.

Łzy pociekły z oczu młodego Leśnika.

Ponad lasem znów wstawał świt. Olaf stał na szczycie góry i spoglądał w niebo. To samo niebo, którego zawsze tak brakowało Bartłomiejowi. Spojrzał niżej. Jego oczom ukazał się drewniany krzyż. To tu pochował przyjaciela pół roku temu. Do dziś czuł ból. Był bardziej odległy niż wtedy, lecz taki sam. Czas tym razem nie zagoił ran.

Znów spoglądał w niebo. Promień słońca przebił się przez szary całun. Chmury rozstąpiły się nad nim, ukazując tak długo skrywany błękit...

- Niech ci ziemia lekką będzie, stary druhu – powiedział, po czym ruszył przed siebie, w sobie tylko znanym kierunku.